MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro; tel. 2[illegible]5-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—7 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5; telef. 25-[illegible]3

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok III. Warszawa, 8 Września 1923 r. Nr. 36



Cena numeru 5.000 mk.

PROROK W SWOIM KRAJU.

20 kwietnia 1921 r., wysłał J. Piłsudski, do Wilna następujący telegram:

„Dziękuję Radzie miasta Wilna za nadanie mi obywatelstwa honorowego, które wobec mego żywego przywiązania do rodzinnego grodu przyjmuję z tem większą wdzięcznością, że zdaje się zaprzeczać przysłowiu: „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju". — J. Piłsudski („Naród z 26 kwietnia 1921 r.)

Gdyby J. Piłsudski lepiej znał czy też lepiej pamiętał arcydzieła literatury światowej, byłby wiedział, że już dawno przed nim skonstatowano „niezastosowalność" tego „przysłowia" do pewnego gatunku „proroków". A gdyby wiedział, możeby wolał sam się do nich nie zaliczać.

Mianowicie Alfons Daudet w jednej z najlepszych swoich powieści politycznych „Numa Roumestan" powiada:

„Ach, przysłowie, które mówi: „Nikt nie jest prorokiem..." z pewnością jest prawdziwe, gdy chodzi o artystów, o poetów, którym rodacy ich zawsze ostatni skłonni są przy-

znać wyższość, natury zresztą czysto idealnej, bez żadnych widzialnych efektów; *ale przysłowia tego nie można stosować do mężów stanu, do znakomitości politycznych lub przemysłowych, do tych wielkich sław dochodowych, które spieniężają się w łaskach, we wpływach*, rzucają blask wszelkiego rodzaju błogosławieństw na miasto i jego mieszkańców"...

Jednem słowem—żeby to rzec po polsku z prosta,—które same zrobiły „bajeczną karjerę" i które pomagają robić karjerę innym.

„I tak oto—czytamy dalej w powieści Daudeta—lat dziesięć już mija, jak Numa, wielki Numa, poseł, leader całej prawicy (wtedy „proroków" miewała prawica... *) jest prorokiem Prowansji, od lat już dziesięciu dla tego znakomitego syna miasto Aps ma zawsze tkliwość i serdeczne wylanie matki, i to matki z południa, która uczucia swe wyraża wśród manifestacji, krzyków i pieszczotliwych gestów. Zaledwie więc przybywa w lecie, po ferjach sejmowych, zaledwie się zjawia na dworcu, zaczynają się owacje"...

Analogja z przyjęciami współczeszego proroka wileńskiego, jak widzimy, zupełna.

Szczególnie jaskrawo występuje ta analogja przy jednym zwłaszcza punkcie programu, który to punkt świadek naoczny ostatniego przyjazdu Piłsudskiego do Wilna opisuje w sposób następujący:

„Przed dworcem czekało kilka automobili i powóz, zaprzężony w białe konie, do którego siadł p. Piłsudski, w towarzystwie nieodstępnego p. Prystora. Wnet jak z pod ziemi wyrosła garstka wojskowych, którzy na komendę (!) wyprzęgli konie, wprzęgając się do powozu. Miasto nasze położone jest w kotlinie, dworzec kolejowy położony jest na najwyższym punkcie, więc z góry raźno toczył się powóz, ku uciesze nielicznych gapiów, przeważnie z „naszej mniejszości". Skoro jednak na równą wjechano drogę, powóz utknął, wielbiciele p. Piłsudskiego, porządnie już zmachani, poczęli przyzywać publiczność na pomoc, nikt się jednak nie ruszył... Ostatecznie jakoś wywindowano go do miejsca przeznaczenia, na ul. Portową, gdzie u brata swego zamieszkał p. Piłsudski".

A teraz dajmy znów głos Daudetowi dla opisu takiegoż samego i tak samo stereotypowo powtarzającego się punktu programu przy przyjazdach Numy Roumestana do jego rodzinnego miasta:

„Tragarze, zasiadłszy na stopniach, czekają, aż stary powóz rodzinny, przysłany po Wodza, obróci kilka razy kołami, między rozłożystemi jaworami alei Berchère. Wtedy oni sami wprzęgają się do powozu i ciągną wielkiego człowieka wśród wiwatów i odsłoniętych głów aż do domu p. Portal (ciotka bohatera), gdzie on wysiada. Entuzjazm ten przeszedł do tego stopnia w tradycję w ceremonjale przyjazdu, że konie

---

*) Słowa te jak wiadomo, powiedział o sobie Chrystus. Ob. Ew św. Marka VI. 4.

zatrzymały się same, jak przy stacji pocztowej dla przeprzęgu, na rogu ulicy, gdzie tragarze mieli zwyczaj wyprzęgać, i żadne baty nie zdołałyby ich zmusić do uczynienia kroku więcej"...

Ot co jest siła tradycji! Jaka szkoda, że Piłsudski nie ma zawsze tych samych koni siwych... Jest legenda o jednym Naczelniku, którego koń z przyzwyczajenia sam zatrzymywał się przed każdym biedakiem, by przypomnieć swemu panu obowiązek usłużenia biedakowi jałmużną, — byłaby druga legenda o drugim Naczelniku, którego siwe konie zatrzymywały się same, by przypomnieć innego znów rodzaju biedakom ich obowiązek służenia „panu" w roli zwierząt pociągowych.

I jeszcze jedna była różnica między owym niegdyś konserwatywnym, a dziś postępowym obrzędem. Oto konserwatyści urządzali się praktyczniej. Prawica zawsze widać miała więcej zmysłu organizacyjnego, niż lewica, oraz więcej szacunku dla zasady: the right man on the r ght p ace, — właściwy człowiek na właściwem miejscu. Do dźwigania więc czy też do wiezienia swo ch „proroków" używała tych, których zwykle używa się do dźwigan a ciężarów — tj. tragarzy, nie oficerów.

Można jeszcze zrozumieć i pobłażliwie oceniać fakt, kiedy w szczerym i naprawdę zupełnie samorzutnym odruchu, w wyjątkowych okolicznościach raz i drugi młodzież kogoś poniesie na barkach, czy wprzęgnie się do jego powozu... Ale ciągle tak? sys ematycznie i za każdym razem? Smutny komizm sytuacji, tak świetnie wydobyty przez Daudeta, tkwi właśnie w owej przygotowanej z góry *inscenizacji* rzekomego odruchu w fakcie, że staję się to punktem programu, ceremoniału, obrzędu...

Ciekawa to rzecz bądź co bądź, co się dzieje w duszy takiego „demokratycznego" młodzieńca, kiedy mu tak entuzjazm w pięty wlezie, i kiedy z najwyższym wysiłkiem mięśni i płuc, sapiąc i dysząc, człapie sobie raźnym truchcikiem i ciągnie rozpartą w powozie cielesną powłokę swego proroka.

Niemniej ciekawe jest pytanie, co się dzieje w duszy ciągniętego w ten sposób „demokratycznego" proroka?...

Na usprawiedliwienie Numy Roumestana i obyczaju opisanego przez Daudeta, — jeśli tak bardzo postępowy dziś w Polsce obyczaj wymaga wogóle usprawiedliwienia — powiedzieć trzeba, że rzecz działa się tam na południu Francji. W samej naturze zaś południowców leży, jak wiadomo, taki jaskrawy sposób wyrażania nastrojów i skłonności. Po drugie, — szczegół drobny, lecz może wart zaznaczenia, — za czasów konserwatywnego Numy nie było jeszcze automobili, bohater więc Daudeta, jeśli o jego zachowanie się chodzi, nie miał wyboru: musiał siadać do „rodzinnego powozu", poczem już niezależnie od niego, sama przez się, działała ta „siła fatalna, która w oznaczonym z góry miejscu i momencie „zjadaczy chleba" nie tyle „w anioły" ile w... konie kłapouche przerabia...

Tymczasem tu, wedle słów naocznego świadka, na Piłsudskiego czeka kilka automobili i powóz. Więc wybór jest.

Jeśli zaś Piłsudski, zamiast do wygodniejszego dla lokomocji automobilu, siada do powozu, to najwidoczniej dlatego, ażeby stało się zadość tradycji, którą wprawdzie przed pół wiekiem już wykpiono we Francji, jako konserwatywną, ale która dziś w Polsce jest postępowa.

„Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba", z właściwą sobie pokorą i wstrętem do szukania popularności mówi sobie zapewne w duszy ten „skromny człowiek", patrząc na dziarskich młodzieńców, wprzęgających się koniecznie do jego powozu na miejsce białych (koniecznie białych!) koni.

I niechże kto ośmieli się teraz twierdzić, że nasi ultrapostępowcy ze swoim mężem sztandarowym na czele nie mają czci dla — tradycji...

Jan Lipecki.

NADZIEJE, PLANY I METODY.

(Dokończenie).

Najważniejsze światło na robotę, oraz na podatność strachajłów wobec sztucznie robionych nastrojów, rzuca niedawne zdarzenie w Warszawie. W chwili wybuchu zaburzeń w Niemczech kilkudziesięciu Niemców uciekło do Warszawy. Było ich dwa wagony. Policja otoczyła te wagony, nie wypuściła uchodźców, którzy podobno nawet po kilku dniach wrócili do ojczyzny.

W całej Warszawie wywołano popłoch. Najrozważniejsi ludzie ulegli nastrojowi i wołali o areszt, o obozy koncentracyjne dla zbiegów, bo Polska zagrożona, bo będzie nieszczęście, zdrada, przewrót, śmierć. Opozycja, wbrew sojuszowi z Niemcami, umiejętnie wywołała ten popłoch, ażeby zachwiać rząd, wstrząsnąć większością. Przypuśćmy, że tych Niemców było dwustu i że rozmieścili się bez przeszkód po Polsce wedle upodobania. Czy ten przyjazd dwustu nierewolucjonistów niemieckich, którzy przed rewolucją uciekli z ojczyzny, da się co do skutków i niebezpieczeństw zestawić z napływem jednego, czy półtora miljona żydów rosyjskich do Polski? Wszyscy żydzi rosyjscy są albo bolszewikami albo przyjaciółmi i agitatorami bolszewickimi. A między Niemcami jest ogromny odsetek ludzi spokojnych i pracowitych. A przecież lewica milczała, a nawet ułatwiała przypływ i pozostanie w Polsce olbrzymich mas wrogów Polski wtedy, kiedy była przy rządach, a teraz wywołała paniczny popłoch z powodu przyjazdu dwu wagonów chrześcian, jak się zdaje, całkiem spokojnych i lojalnych ludzi. Kto nie był w owych dniach w Warszawie nie zdoła sobie wyobrazić popłochu, jaki wywołała umiejętna agitacja z powodu drobnostki, niegodnej nawet wzmianki w dzienniku, chyba dla zillustrowania stosunków w Niemczech.

Jedną z form dalszych agitacji jest szerzenie wśród urzędników nastroju, że właśnie chwila dzisiejsza, a nie żadna inna jest

jedyną, w której należy się domagać regulacji płac i to wedle normy p zedwojennej, obliczonej na frank złoty. Ci sami ludzie, którzy beznadziejnie nizkie zapłaty wytrzymywali przez półpięta roku, zaczęli żądać decydującej regulacji jeszcze przed naprawą skarbu, chociaż są pewn, że po naprawie skarbu ta sprawa będzie pomyślnie załatwiona. Na szczęście lewica spotkała się tutaj z obywatelskim odporem u większości.

Nie tak jednak poszło z robotnikami budowlanymi. Kazano im żądać zapłaty francuskiej, zapominając, że ceny żywności są u nas niższe niż we Francji, a czynszów poprostu się nie płaci. Ta antyspołeczna agitacja osiągnęła skutek i sezon budowlany chyli się ku końcowi, a w zrujnowanej Polsce nic się nie buduje, bo strajkują, co czas jakiś.

Te paniczne nastroje mają za cel rozbicie polskiej większości. Opozycja liczy na wrażliwość nastrojową niektórych posłów i grup poselskich z większości. Zarzucono nawet sieci na chrześcijańską demokrację, pewne grupy piastowców, na ziemian wielkopolskich, obiecując im sojusz z narodową partją robotniczą i życzliwą neutralność lewicy i mniejszości narodowych, byleby wystąpili z większości.

Istotnie chwila jest dobrze wybrana, a kto wie, czy nie ostatnia. Za miesiąc, za dwa mogą się już okazać tak wyraźne skutki uchwał, ustaw i zarządzeń nowego rządu, że tylko ludzie złej wiary i woli uwierzą agitacji. A takich nawet między zwolennikami lewicy nie jest tak wielu.

Dlatego, licząc się z ewentualnością, że nastrój porażeńczy nie wywoła secesji i rozbicia się większości polskiej, śmielsi kondotjerzy przygotowują zamach stanu na październik. Zaprzysięga się strzelców na wierność dyktatorowi, próbuje się mobilizować osadników wojskowych, ożywia się spiski między oficerami i urzędnikami, tudzież odgrzewa się legendę p. Piłsudskiego. Na szczęście on sam, wytaczając działa najgrubszego kalibru, psuje swojemi wystąpieniami własne dzieło i dlatego należy sobie życzyć, żeby mówił i wygłaszał odczyty jak najczęściej. Nie potrzeba będzie nawet polemiki ze strony większości polskiej, bo jego mowy są najskuteczniejszym aktem oskarżenia przeciwko jego rządom. Gorzej będzie, gdy ten „olbrzym" zamilknie, a weźmie się do spisków, w których ma być niedoścignionym mistrzem.

Gdyby jednak i październikowy zamach stanu zawiódł, najenergiczniejsi peowiacy postanowili zejść do podziemi i jak niegdyś za rosyjskich czasów, zabrać się do bomb i atentatów przeciw własnemu państwu i narodowi.

Co robić wobec tego?

Przedewszystkiem zachować zimną krew. Jest to choroba którą przetrwać musimy i przetrwamy. Nie zabrakło nam cierpliwości przez cztery lata wojny i przez półpięta roku rządów aktywistyczno-lewicowych, nie powinno nam jej zabraknąć i przez tych kilka lat, przez które ten wrzód antypolski będzie dojrzewał i bolał.

Te wybryki leżą w porządku rzeczy. Jako całość, jako

naród nie wywalczyliśmy Polski wolnej, nie wypracowaliśmy jej trudem i znojem zbiorowym. Zbieg sprzyjających okoliczności, tudzież zasługa krwi przelanej przez ojców i dziadów dały nam wolną Polskę bez ogólnego trudu zbiorowego.

Trzeba dokonać tej pracy w ustaleniu i utrzymaniu Polski, jakiej nie dokonaliśmy w jej odzyskaniu. Pomyślność jest zawsze tylko owocem rozumnej, wytrwałej i cierpliwej pracy.

Otrzymana jakby „w prezencie“ Polska stała się dla wielu osób i grup przedmiotem eksploatacji. Musimy ją zamienić na wspólny przedmiot ukochania. Musimy przez zwalczanie wszelkich zakusów dojrzeć jako naród do uzyskanej wolności — musimy się poprostu przeobrazić wewnętrznie.

Do dziś dnia pokutuje u nas myśl wyzyskiwania państwa na rzecz jednej warstwy, jak proletarjatu w dyktaturze proletarjatu, jak chłopów w wyłączności chłopskiej, jak w panowaniu mniejszości. Musimy w duszach wykształcić przeobrażenie i to przekonanie, że Polska nie jest terenem dla plantatorskich eksploatacji przez mniejszości stanowe czy narodowe, lecz że jest wspólnem naszem dobrem — nie korytem dla nierogacizny, lecz matką dla dzieci—nie czereśnią dla obrywania z niej jagód, lecz domem, o który z pieczołowitością dbać należy.

I ta myśl, to uczucie szerzy się Bogu dzięki. Obejmuje już większość Polaków. Trzeba je szerzyć i pielęgnować.

Przychodzi czas ciężkiej próby. Nowa większość narzuciła na obywateli wielkie ciężary. Z powodu niesprawności aparatu wymierzanie tych ciężarów będzie częstokroć niesprawiedliwe. Jeżeli obywatele w tych ciężkich chwilach, nie zapominając zresztą o energicznem szukaniu sprawiedliwości tam, gdzie jej zabraknie, za te uciążliwości nietylko się do państwa nie zrażą, lecz przeciwnie, zapomniawszy o swoich kłopotach i udręczeniach, cieszyć się będą z postępu i z naprawy, to zdadzą egzamin ze swojej dojrzałości do wolności. Przez takie przezwyciężenie własnych uciążliwości będziemy wolność i przyszłość sami dla siebie wysługiwali.

Jan Zamoyski.

TOWARZYSZ GRAF TARNOWSKI.

MOTTO:

Dziennikarz do Stańczyka.

„Fatum nas w obłędy wodzi: u rozstajnych dróg, Zły Duch! Tu moje rozstajne drogi: ty mój Duch zły, — demon, Szatan: błazeństwem ja z tobą zbratan, byłem ci duszą poswatan, nim dusza stała się trup; a teraz mi pachnie grób, czuję trąd”.

Wyspiański: „Wesele”.

Stara, rozpadająca się ekonomska, poczerniała z niegodziwości, żółta ze zazdrości i zawiści rudera cekrakowskiego „Czasu” ma jednakże w stajence swojej dziadosko-pańskiej jeszcze dwa rasowe folbluty.

Od czasu do czasu każe dzierżawca Oesterreicher furmanowi Antoniemu zaprządz do dyszla to jednego, to drugiego, to nawet parę i landara znowu spory sztuk drogi dzielnie się wlecze, a pudło rozklekotane skacze na pasiastych resorach, wywołując niekłamany podziw czeladzi i okrzyki: e pur si muove! a jednak „Czas" się rusza!...

Folbluty te to Franciszek Potocki z Pieczar i John Tarnowski z Chorzelowa.

Kiedy zaprzęgną pierwszego folbluta do landary, to tam jeszcze to jakoś idzie, truchcickiem idzie, ale śmiać się nie ma ta z czego. Widowisko dopiero się zaczyna, ilekroć drugi folblut zabiera się do roboty, gorszejszy w formie, ale jeszcze się rwący, zołzowaty, o zerwanych pęcinach, postukujący odpadającą podkową, ale ambitna i ochotna sztuka i z fantazją jeszcze, aż się Jantoni Beaupré z kozła, ubrany w sztangrecką, lepsze czasy pamiętającą liberję czasem boi, żeby taki rumak chorzeloski nie poniósł i całego pudła gdzieś o jakiś kamień, czy drzewo nie roztrzaskał...

Ale bo też pisze i pisze graf Grafoman, że pożal się Boże aż radość bierze i serca się krzepią co się wlezie.

Jak już raz niebacznie „odkryli" ten nowy talent, pański talent, nowy geniusz stanu, nową gwiazdę na Czasowo zachmurzonym choryzoncie, tak już i nie sposób ją zakryć i namówić, żeby conieco odpoczął, odsapnął. Nie śpi, nie je, nie żuje, nie trawi, nie dopnie się, nie pije a pisze i pisze, i czyta i czyta; ledwie zipie czasem, ledwie się zdrzemnie na momencik i już bywa się rozczmycha, już siada do biurka i znów pisze i znów wertuje w książkach, rozcina nowe foliały, notaty robi, tłómaczy, ślęczy, męczy się i pisze, dalej pisze. Stary lokaj Mateusz stoi z flachą antracenowego i tylko raz po raz dolewa do kałamarza czarnocieczy i znów podaje z regałów foliały i znów rozcina kartki nadeszłych „magazinów" i „rivistas" i raz po raz pismosuszek do hrabiowskich rękoczynów przytłacza i w duże koperty pakuje, grafoską pieczątkę wyciska. I jadą koleją do „Czasu" dzień w dzień grubachne rękopisma z Chorzelowa, a z nim i powoli, powoli idzie w naród światło i wiedza i erudycja, nieprzejrzana mądrość spływa i jasność leje się w strumieniach obfitych wskazań i pouczeń, na obecną porę i dobę.

Zaliż to kto mógł przypuszczać illo tempore, kiedy to hrabią po raz pierwszy przyszedł z tymi pierwocinami i nieśmiało wręczał je Estreicherowi? Pliczka papieru była spora. Tytuł to nosiło: „Rzecz o racjonalnej hodowli czerwonego bydła" jedno, a drugie: „Moja pierwsza rozmowa z bratem stryjecznym lorda Londonderby". Pojrzały ku sobie wygi redakcyjne i lekki dreszcz ich przeszedł.

Takiemu jak się raz co gdzie w czem wydrukuje, to potem Boże wspieraj, Boże ochroń, już niema ratunku! będzie w nas zlewał jak w beczkę Danaid zbędny płyn z rodzonej głowy... Już mamy takich dynastycznych kolatorskich staty-

stów dwa tuziny!... No tak, ale nuż się Zdzisław obrazi za Jana?...

Pojrzały ku sobie redakcyjne wygi i w lot się porozumiały.

...Jesteśmy hrabiemu nieskończenie zobowiązani, zagaił Tonio Beaupré, odkładając na bok „La Vie Parisienne", w którem łapczywem wzrokiem zniewalał jakąś rudachną midinetkę". Właśnie brakowało nam fachowego materjału o czerwonem czworonożnem...

...Tak, to świetnie się składa, ale mnie właśnie więcej zależałoby na tem... drugiem... Lorda Londonderby stryjecznego brata znałem osobiście i spotykałem się z nim kilkakrotnie u teścia siostry pana Clemenceau...

I tych kilka słów niedbale przez hrabiego rzuconych zdecydowało odtąd o jego losie... ba! może o losie Polski, czy nawet nie o losach Europy!..

...Czy tak? O to prosimy... Może pan hrabia spocznie... Mamy kilka chwil wolnego czasu, możemy pogawędzić.

Wraz Estreicher odbierał z rąk Johna z Chorzelowa parasol i kapelusz, Beaupréire zasię podsuwał honorowe krzesło (na którem onego czasu siadywał „sam Dunajewski", a, o które już piąty rok targuje się sam Hoesick, zaprzysięgając, że: „cerata proszę panów mocno zdezelowana").

I już ta pogawędka pierwsza potoczyła się do samego wieczora, pojąc uszy dwuch Dioskurów „oświeconej (jaśnie) konserwy" najsłodszymi melodjami. Już po półgodzinnnej gawędzie okazało się, że tenci jest mąż opatrznościowaty, którego już oddawna szukał Stańczykierat, oddawna! Pogrobowiec aktywizmu! Nawrócił się taki na wyznanie krakauerskie już post festum, po latach, po wielu, kiedy bł. pamięci aktywizm dawno zmarł i pogrzebion jest, Wilhelm w Doorn, Zyta w Aranjouez, Beaupré miał już drugi wywiad z colonelem de Centneuf, a Foch siedział u Zdzisławów na fotelu, na którem przez lat cztery siadywał feldmarszall Danckl Edler von Dackeldreckstein. Na takiego czekali, aż się go i doczekali! Takiego nam trzeba było do kompletu, do zademonstrowania radosnej potęgi krakauerskiej orjentacji! Tutejszych, bywszych „flamingantów" mamy kilka tuzinów; Zdzisławem, Konopką, Hupką, Goetzem, Badenikinem, Lloydżorżem Mycielskim, kopą, czy kupą Skrzyńskich już tam nie zaimponuje nikomu!... Ale taki count John! co całą wojnę ententystą był, zagranicą przesiedział, Ghibellinów potępiał, kilka razy z Genewy do Paryża i naodwrót jeździł, prywatne poufne konferencje z teściem siostry pana Clemenceau miewał, Sikstusowi Parma i Piacenza był prezentowan, omal z lordem Londorderbym się nie pokumał, w bridża z colonelem Patric Douglasem grywał! o! taki Tarnowski, co całe cztery lata oprócz „Figara" nic do ręki drukowanego „zasadniczo" nie brał, a teraz oto i-ro, teraz, teraz wreszcie! anno Domini 1923 całą rację przyznaje stanowczo racji stanu Enkainitów! taki Tarnowski, co przejrzał i się nawrócił! to dopiero cudów cud! to

rekordowy sukces w „moralnych eroberungach", to tryumf Ormuzda nad Arymanem, to dokument endosmozy umysłowej i potęgi magnetycznej tej naszej mentalita oesterreicheriana. .

Więcej bowiem jest radości w niebiesiech z jednego galicjańskiego, a choćby słowackiego czy Morawskiego nawróconego grzesznika niźli z 99 zaprzałych i zajadłych w żałobie czarno-żółtej, po nieboszczce Austerji cnotliwców, odwiecznie wiernie i ślepo Enkanonom zaprzysiężonych.

Pamiętny to był dzień pod Wawelem, kiedy to pierwszy ukazał się artykuł w „Czasie" podsygnowany literkami J. T. Grupkami stawali ludziska na Plauciech i odczytywali sobie na głos. O niczem, jak tylko o tem evenemencie w Krakowie, sobie nie rozpowiadano. Rojno i gwarno i parno tego dnia było w Grandzie przy Round-Table, gdzie Izba Gwiazdzista obmyśla plany dobicia viribus unitis smoka Endecji.

Na kwartalnem zebraniu Stow. świętej Zyty (patronki wszelijakiej służby) właśnie tego dnia się odbywającem, prezes Pelagja ze Skorupków Konopko na głos odczytała zebranym artykuł z „Czasu" supponując zresztą, że J. T. znaczy się T. J., ergo pewnie ktoś z światłych Ojców Jezuitów z Wesołej. Sensacja tego dnia była wielka, gaudium w „Czasie" niemałe, sukces zupełny; sam Estreicher zapomniał do cna o swoich wewnętrznych długopolskich robakach i zgryzotach, a ino się radował i radował z odniesionego tryumfu i zasnąć nie mógł, tylko się na pościeli przewracał. Biła już na Marjackiej może jedenasta, może i północ nawet, kiedy tego dnia ostatnie krakauery dopiero zasypiały pełne zdrowych na przyszłość nadziei.

I istotnie Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy i dziwnie łaskaw na te „Czasy". Co czas jakiś „Czas" obdarzon nowym geniuszem, co oświetla i prostuje ścieżki Pańskie. Był Boy, było laurowo i Sinko, to znowu Wędkiewicz, Kumaniecki albo też i Zadora poniektóra i hrabia Pieczarek, a i Hupka też jeszcze czasami coś ze siebie wykrzesze, podczas, gdy na Beauprem zawsze jeżeli już nie podeprzeć się, to podetrzeć można...

Ależ wszyscy oni, skądinąd bardzo, bardzo światli mężowie, a jednakowoż w cień poszli pokornie, kiedy to onego czasu rozbłysła jasna gwiazda Johna z Chorzelowa nad tą dziwnie, dziwnie przez Opatrzność ubłogosławioną małopolską krainą, ziemią, mężów i mędrców stanu ponad miarę i spodziewanie wszelakie w obfitości rodzącą.

Zaiste bowiem wielu i mnogo szło stąd w skołataną ojczyznę mężów niepospolitych, na miarę krawca Fidjaszowego skrojonych, godziwie patres patriae et lumina de coelo pospólnym głosem ogółu przezwanych, ale ten ci zaiste był pierwszy, któren dziedziczną genialnością, jaka Tarnowskich ród zawsze cechowała, obciążon szczęśliwie, na największe się ważył, szczytów dosięgnął horyzont i firmament rozświecił,

szczodrze i chojnie geniuszem swym ze spółcześnikami się dzieląc.

Czego zasię dokazał graf Grafoman dostojny, na to co się ważył chlubnie Chorzelowski, śmiele rzec można Talleyrand, o tem najmilejsi parafianie pogadamy se sobie, mówiąc po naszemu, po krakauersku: za drugim razą. *A. Nowaczyński.*

KOŚCIUSZKO, MICKIEWICZ, MOCHNACKI.

T. Kościuszko:

(Po bitwie Maciejowickiej).

Obym raczej był *zapomniany* a ojczyzna moja została wolną.. Gdy będzie szczęśliwa i ja też z nią będę... Nie, to i życie moje niepotrzebne.

A. Mickiewicz:

Ja kocham *cały naród!* Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona
Jak kochanek, przyjaciel małżonek, jak ojciec,
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić.

M. Mochnacki:

„Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze.

Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej przewagi.

Mamy wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali. wielkich obywateli, którzy nigdy nic dobrego nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją...

Ta mniemana sława, ta obcza reputacja, ta urojona popularność szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą łatwowierności szczerej lub udanej i ludziom myślącym nakazuje milczenie terroryzmem politycznego nierozumu".

NAJUNIŻEŃSZY DLA ARCYKSIĘŻNEJ DAJE POLKOM „URLOPY NA PORODY".

Telegram brygadjera Piłsudskiego do arcyksiężnej Izabeli Fryderykowej.

W imieniu pozostającego pod mą komendą Legjonu polskiego ośmielam się wyrazić *najuniżeńsze* podziękowanie za dary świąteczne, które zostały rozdane załodze, leżącej w rowach strzeleckich wśród najgwałtowniejszego ognia nieprzyjacielskiego. *Piłsudski*, brygadjer,

*
* *

Kiedy w styczniu r. 1921 młodzież urządzająca zjazd ogólno-polski w Wilnie, wysłała delegację do b. Naczelnika Państwa, tenże zapuściwszy się z delegacją w dłuższą rozmowę tak rozgoworywał z bolszewicka po polsku:

— Powiem Panom, nad czem teraz myślę. Uważam, że należy przeprowadzić pociągnięcie kobiet do służby wojskowej. Nie jest to demokratycznie, aby tylko mężczyźni służyli w wojsku, a kobiety nie. Przeprowadziłem to już w Sztabie Jeneralnym i Ministerstwie Spraw Wojskowych, które się opierały, a mam nadzieję, że przeprowadzę także w Sejmie.

A kiedy ktoś z młodych Polaków zwrócił uwagę „obytrego Litwina" (ipse dixit), że ta idea nadwołżańska w Polsce nie znajdzie rezonansu, że życie rodzinne na tem ucierpi, że Kobiety Polki są żonami i matkami, „wściekły ryzykant" „patrzący na życie jako humorysta" odparł:

„Będzie się im dawało urlopy na porody".

Gentleman... *(a. n.)*

STEK FAŁSZÓW.

Gazeta Poznańska nr. 183 zmieniła wywiad z gen. J. Dowborem Muśnickim, w którym tenże o lwowskich monologach „made Marachela” wyraża się następująco:

— Pilnie czytuję gazety, szczególnie co do ostatnich wystąpień Piłsudskiego. Nie umiem sobie zdać sprawy, czy to typ człowieka *uparcie zarozumiałego*, czy niezwykle aż do naiwności szczerego. Np. jego odczyt o obronie Lwowa. Pamiętam te czasy, o których Piłsudski mówił, bardzo dobrze. Rozmawiałem z Piłsudskim i proponowałem mu utworzenie armji regularnej, on jednak ufał tylko systemowi wojsk ochotniczych, skazanych przecież na różne niedogodności i braki.

Mówił Piłsudski we Lwowie, że 5 pułk legjonów Lwów obronił. *To nieprawda*. Legjoniści trzymali się pod Lwowem jako tako i hamowali impet.

Faktycznego rozstrzygnięcia dokonał gen. Konarzewski z pułkami wielkopolskiemi, świetnymi pod względem wyekwipowania, karności i brawury wojennej.

O tem jednak Piłsudski słowem nie spomina. Zresztą powiedziałbym śmiało, że lwowska mowa Piłsudskiego to *stek faktów fałszywie oświetlonych*. [1])

PASCHALSKI BRONI MACHNĘ.

„Wściekły ryzykant“ „dobry żołnierz“, „wódz, któremu wszystko się wiodło“ (jakiś czas), romantyk, militarysta i awanturnik (ale z pechem) słowem ataman Machno stanie wnet przed trybunałem sądowym i będzie odpowiadał za to, że zbyt dosłownie wziął do serca idee Piłsudskiego stworzenia wielkiego państwa ukraińskiego i konsekwentnie służąc maniactwu federalistycznemu, zapragnął oderwać też „Czerwoną Ruś“ od Małopolski Wschodniej.

Obronę atamana Machny i jego Peohaków (P. Obrony Hajdamackiej) podjął się orędownik Adka Stückgolda i protektor Józefa Piłsudskiego mecenas Paschalski. Niestrudzony i niezmożony jest ten Leosz Duracz naszych mienszewików. Jak Leosz Duracz, (zresztą talent i adwokacki i oratorski pono nieporównanie większy) każdej chwili czy to w dzień sądny nawet czy w Paschę gotów bronić każdego komunistycznego Citerspielera i każdą Fajgę Atlas czy Okręt, fałszującą paszporty czy banknoty, tak ten pomniejszy talent, Duraczek niejako każdej chwili gotów bronić w dzień powszedni Machny lub Stinkgolda, byle w Niedzielę miał swój wiec w jakim Kino, na którymby mógł się wyryczeć na Chjenę i wywrzeszczeć pean ku czci atamana Piłsudskiego.

Tym razem patetyczny kauzyperda będzie miał zadanie i „powietrze“ łatwiejsze. Ataman zaczął karjerę błyszczącą także od rozbijania pociągów, ekspropriacji i aktów terrorystycznych.

Byle się tylko temu Paschalskiemu przytem nie pomię-

---

[1]) Cała prasa lewicowa przedrukowała pierwszą połowę tego wywiadu, zatajając podle część drugą. W pierwszej części generał Dowbor w sposób lekko kpiący wyraża się o konieczności dyktatury.

szałoł i byle broniąc Atamana Machnę przed Trybunałem Sądowym nie wyrecytował jakichś „kwiatków krasomówczych“ przeznaczonych na wiec peowiacki w kinie... A znowu w kinie żeby zaś nie wystękał coś, co sobie wyszpekulował w obronie Adka Stikgolda.

To jest ananas, ten wasz mecenas.... (*n*).

BAJCZARZE.

Jakby podkąsana przez jakiegoś rozwściek'onego kundla prasa opozycyjna wyje i wyje co dzień ku niebiosom, ku księżycowi aż i uszy czasem więdną od tego skowytu. Ujadają duże bulldogi odkarmione, ujadają pudle długowłose, charypią zajadle owczarki i powsinogi z zapłotów, doskakują pokraczne jamniki, ale i pinczerków zmyślnych nie brak w tej kakofonji zgiełkliwej, uporczywej, naprzykrzonej, głupowato bezc lowej, plugawie nudnej i monotonnej.

Pinczerki to te bajdopisarki. Wypuszcz no wszystko ze smyczy, więc i to to piszczy, skowyczy i ciska się na przechodzącą spokojnie karawanę, którą przedwcześnie uważa za: karawan.

Wabią się: Rygier, Hertz, Eysmont, Guranowski, Antonibe Cwał (w Clozecie Opozycji). Pomijamy tu całkiem nieszkodliwego matołka, urymującego sobie na stół Fryzego okolicznościowymi sonetami i przed nosem „Naczelnika“ wyładowującego ze stękaniem bezkarnem swe hołłowne madrygały i madryguana. Ale ten Hertz! Szajgec szeman talent ma, nieco padalczy to prawda, ale ma i pazury dobre; pinczerka swego czasu można było nabyć od nycla za bagatel; swego czasu do konserwatywnego pisma w Wilnie ultraklery kalne artykuły pod pseudonymem księdzu *C.* na obstalunek dostarczał akuratnie: monarchistą też był fajnym i nie z jednego piecyka chleb jadł, wszystkim bogom i niebogom służył. Szkoda, że go podkupiły P. P. S. i pod armją Benekera...

Albo i ten Eysmont! Boże pożal, że go wypuszczono. Jaka szkoda! Talent jest di primo cartello, bajczarz rasowy, zwięzły ziarnisty, lapidarny, kuty na cztery podkowy, czasem omal klasycznych szczytów w swym małym genre sięgający. I nie szkoda też to! nie szkoda! W Rosnerionie obok tuzina purycców kozły fikać, z Wasserzungiem parlować, z Atłasem się parać, nouvorejchów zabawiać. A był do wzięcia ten Juljan Apostatuś młody jeszcze minionej jesieni; Belwederstwa się wypierał solenniter, od radykalnictwa codzi gaywał, narodowcem się mienił, suplitował, zaklinał, pięknie mówił aż się niebo radowało. A teraz co? pożal się Boże! nawet do zamtuza tanty Froesehrenberg bywało nocą zagląda, wyszminkowanym ledacznikom bajkę świeci, luisdory i allonsdory cuchnące jurgeldem łapczywie zgarnia... Narodowiec więc czy Naprzodowiec? W co tu wierzyć? Czy w to co prywatnie opowiadał czy w to co bajczarzy, bajdurzy i bajczerni drukiem? Nie na swojem miejscu tam jest Eysmontów potomek wśród tych cambrioulurów Cambronnai wśród tych kamelotów Cambriolera.

Szkoda Eysmonta,
Że się wciąż pląta
Pełen fantazji
Po Aszenazji,
Przy plutokracji,
Że stale w sił
I pełen gracji
Im bajkopisał.
Bo tamtych chlaszczęgo
Dowcipnym słowem
A tych tu głaszcząc,
Mógłby Kryłowem
Polskim wnet zostać.
A tak jest raczej
Niech mi wybaczy:
Komiczna postać.

c. n.

DĄBAL ZA PIŁSUDSKIM.

(W numerze 7 z czerwca moskiewskiego „Młota" renegat Dąbal bolszewik, tak pisał lżąc Witosa a broniąc czudo - bogatyra).

„W Polsce krąży dziś wersja iż urzeczywistnienie sojuszu kułaków z obszarnikami przyśpieszyła ta okoliczność, że Sikorski odmówił udzielenia Witosowi pozwolenia na prawo wywozu zagranicę 20 tys świń. Ma to być bowiem przyczyna przedwczesnego upadku rządu Sikorskiego, oraz całkowitej porażki Piłsudskiego. Historia wspomina, że gęsi uratowały niegdyś Rzym, *dziś zaś śmiało rzec można, iż świnie obaliły Piłsudskiego i jego rząd......*

„Aferzyście Witosowi, temu lokajowi burżuazji i obszarników. klasa robotnicza Polski włoży na szyję pierwszy lecz zarazem i ostatni „krawat" z mocnych plecionych konopi".

Tyle Dąbal.

Podobnie o Witosie piszą Dąbski w Kurjerze Lwowskim, Stapiński, Ehrenberg, Sanojca i t p.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze.

Przed kilkunastu dniami pewne pisma lewicowe, prowadzące opozycyjną kampanję, pozwoliły sobie na oszczercze wycieczki pod moim adresem, oparte na obciążających mnie rzekomo dokumentach niemieckich z czasów okupacyjnych. Ograniczyłem się wtedy do poinformowania Związku Hallerczyków, że sprawę o zniesławienie wytaczam przed forum sądowe, prosząc jednocześnie o podanie tego oświadczenia do wiadomości publicznej.

Niedawno jednak ukazała się w *Myśli Narodowej* krótka notatka, mogąca rzucić na całą tę sprawę światło cokolwiek jednostronne, a nawet oparte na pewnem nieporozumieniu. Zważywszy więc, *że na temat powyższy pisano w prasie narodowej*, uważam za wskazane dorzucić kilka słów komentarza.

Pisze Myśl Narodowa: „nie myślimy tu p. Ligockiego bronić". Bardzo słusznie. *Niema tu bowiem mowy o potrzebie obrony.* Przeciwnie. Ja tu oskarżam o zwykłe oszczerstwo i zniesławienie. Podanie moje jest już dawno w Sądzie Okręgowym w Warszawie.

Co zaś do owych dokumentów niemieckich — stwierdzam, że wysnuwanie uwłaczających mi wniosków z pisma poselstwa niemieckiego w Bernie do Gen. Gub. w Warszawie i do Kanclerza Rzeszy, świadczy li tylko o zdecydowaniu złej woli i politycznej ignorancji zajmujących się moją osobą dziennikarzy. Byłem w latach 1916 - 1918 przydzielony do Misji Polskiej w Bernie Szwajc., z wyraźnem zastrzeżeniem, że jako pracujący bezinteresownie, niezależny jestem od N. K. N. i je-

go polityki, i utrzymuję stały kontakt z ówczesnym płk. Sikorskim [1]), w kraju, a z przyjaciółmi mymi w Paryżu, przedewszystkiem — zarówno z Francuzami, jak i z Polakami. Są to rzeczy ogólnie znane, i każdy Polak, zajmujący się podczas wojny na Zachodzie, sprawami politycznemi, mógłby o tem udzielić informacyj interesującym się tymi tematami dziennikarzom, o ileby ci ostatni byli sumienni, i poszukiwali prawdy.

Praca dyplomatyczna na tak eksponowanej podczas wojny placówce jak Berno Szwajc., wymagała przedewszystkiem stosunków. i możności komunikowania się z krajem. W r. 1916 opuściłem Paryż, gdzie byłem od kraju odcięty, i gdzie rosyjski ambasador Izwolskij wówczas absolutnie uniemożliwiał możność polskiej politycznej roboty. Przeniosłem się do Szwajcarji, najpierw do Lozanny, a następnie, na skutek propozycji pp. Ludwika Morstina i Michała Rostworowskiego, do Berna. Prowadziłem w Bernie referat francuski. Przyjeżdzali do mnie dyplomaci francuscy i włoscy — a ja z mojej strony starałem się o kontakt z Polską, i w tym celu musiałem jeździć do kraju. Jak wyobrazić sobie możność uzyskania od okupantów paszportu bez zetknięcia się z nimi?

Dwa razy udało się przejechać przez Austrję — raz tylko przytrzymano mnie przez parę tygodni z internowaniem w Landeck. W r. 1918, na mocy nowych przepisów, trzeba było starać się o paszport do Warszawy u Niemców. Udałem się w tym celu, w oparciu o znajomości prywatne osób trzecich, do radcy poselstwa p. von Schuberta, który się okazał człowiekiem bardzo correct, paszport kazał mi wydać, chciał nawet ułatwić wyjazd do okupowanego wówczas Kijowa, gdzie miałem rodzinę.

Pomimo listu p. Schuberta do ks. Oettingena (właśnie ów dokument „wygrzebany") — Niemcy do Kijowa puścić mnie nie chcieli, wobec czego przekradałem się na Ukrainę przez Podwołoczyska, bez przepustki. Później tą samą drogą wróciłem do Warszawy — gdzie się chować musiałem przed niemiecką tajną policją, na co mam świadków. Nie było oczywiście mowy o otrzymaniu paszportu, wobec czego jechałem do Krakowa, a tam dobrzy ludzie ułatwili mi możność wyjazdu zagranicę.

Tymczasem znajomi moi robili u Niemców starania w Szwajcarji, by pozwolono mi wrócić. P. v. Schubert pisze do swego szwagra, Kanclerza Rzeszy Kühlmana. List ten, podpisany przez posła Romberga (którego nawet nie znałem) — jest owym listem N. 2, który spać nie daje panom z lewicy. Przyszedł on nota bene do Warszawy wtedy, gdy ja dawno już byłem w Szwajcarji.

---

[1]) W imię bezstronności zaznaczam, że płk. Sikorski kładł wielki nacisk na konieczność kontaktu z Francją. W marcu 1917 wygłosiłem w Warszawie na zebraniu, urządzonem przez niego w galerji Przezdzieckich obszerny referat o Francji i Entencie. Byłem już wtedy autorem popularnej *Sambry i Mozy*, i miałem wyraźną frankofilską markę. Płk. Sikorski zaś walczył z P. P. S. i to mi się w nim podobało. Przyp. aut.

Piszą Niemcy, że informacje, które uważałem za stosowne im dać, były interesujące. Zapewne, bo przecież ich ministerstwo Spraw Zagr. nie poinformowało ich n. p. o okrucieństwach ks. Ysenburga Birsteina na Litwie, i o innych powodach, wywołujących zaognienie stosunków w kraju. W ciągu *trzech rozmów*, które miałem naogół z p. v. Schubertem, zdołałem u tego przyzwoitego człowieka uzyskać zachowanie się, należne temu politycznemu stanowisku, jakie zajmowałem w Szwajcarji — „obwohl Nationalpole", jak pisze, i pomimo, że w hotelu Bellevue codzień prawie można było mnie widzieć przy stole z Francuzami, Włochami, Anglikami, czy z Polakami najrozmaitszych odcieni politycznych.

Ani trudności tej pracy, ani też straconej na nią energji czasu, i pieniędzy, a nieraz i walczenia z ostrym niedostatkiem — nie jest oczywiście w stanie zrozumieć taki przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju brukowych podłostek mały reporter dziennikarski. Guarda e passa. Nie wspominałbym o tem, gdyby nie notatka w prasie narodowej, domagającej się wyświetlenia sprawy.

Myśl Narodowa rzuca na całą sprawę światło cokolwiek jednostronne. „Czem wobec długiego romansu Piłsudski — Beseler z r. 1916 jest przelotny choćby stosuneczek Romberg — Ligocki?" pisze autor notatki.

Za pozwoleniem. W incydencie Schubert — Ligocki niema nic takiego, coby usprawiedliwiało słowo „stosuneczek", niema przedewszystkiem nic, czegoby w każdej chwili nie można było w pełnem świetle pokazać. Nie należę do ludzi, którzy lubią palić niemiłe archiwa... Kopie mych memorjałów, składanych w Paryżu na Quai d' Orsay, przez pośrednictwo markiza de Dampierre, ś. p. Jenerała du Moriez, etc. znajdują się w archiwum Poselstwa Polskiego w Bernie Szw., gdzie zajmowałem w latach 1918 - 1919 stanowisko sekretarza legacyjnego, wysłany tam przez Ministra Spraw Zagr. p. Tytusa Filipowicza.

Jasnem jest, że we wszelkiej pracy dyplomatycznej kontakt ze sferami politycznemi jest warunkiem sine qua non — więcej nawet—jest jednym z zadań głównych. A jakiekolwiek zastrzeżenia co do czyjejś roli na placówce tak eksponowanej, na którą pierwszych lepszych się nie powołuje —czynić wolno wówczas dopiero, gdy się ma dane, że działa na niekorzyść Państwa. To też karygodnem jest i nieuczciwem, gdy byle dyletant dziennikarski pozwala sobie czynić komuś pochopnie — zarzut zdrady stanu, wyssany z palca. W tej właśnie sprawie odwołałem się do sprawiedliwości Rzeczypospolitej Polskiej, podkreślając wyraźnie, że chodzi tu o proste i niewybredne oszczerstwo.

Podkład wszystkiego jest tu ściśle partyjny. Rozeszła się oto pogłoska, że na jedno ze stanowisk w Min. Spraw Zagran. powołany ma być Edward Ligocki, autor książki o Józefie Hallerze, o której to książce pewna utalentowana dama napisała aż 13 feljetonów w tempie scherzo furioso... Ligocki, więzień

Mokotowski z czasów grudniowych 1922, ten sam, który w swoim czasie ośmielił się opublikować—skrzętnie przemilczany dotychczas rozkaz Dow. Frontu Północnego, III, z dn. 13 sierpnia 1920 r...., druzgocący mozolnie zszywaną legendę o obronie Warszawy przez grupę Dęblińską p. Naczelnika Państwa.

Hajże więc na Soplicę—calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose. Walić w Ligockiego, a przy okazji ugryźć w łydkę Hallera i Związek Hallerczyków, i skubnąć spać nie dającego chochola, t. zw. „Faszyzm polski".

Na zakończenie tych kilku uwag moich pozwolę sobie przytoczyć parę zdań z posiadanego przezemnie listu ś. p. Fernanda hr. du Moriez, jenerała Dywizji Armii Francuskiej, Komandora Legii Honorowej i Orderu Polonia Restituta, etc., b. delegata Rządu Franc. na święta Napoleońskie w Warszawie, zaszczytnie znanego działacza na polu polsko-francuskiego zbliżenia, z którym od lat łączyły mnie bardzo blizkie polityczne i osobiście przyjazne stosunki. List, o którym mowa, napisał do mnie ś. p. Jenerał kilka dni przed śmiercią, 28 kwietnia b. r., na skutek zaczętej już dawniej oszczerczej kampanii pod moim adresem:

„J'attendais de jour en jour votre réponse a la lettre, dans laquelle je vous disais toute mon indignation contre les calomnies, dont vous me parliez dans votre lettre du mois dernier. Il vous faut mépriser ces attaques, portant précisement sur une période de votre vie, dans laquelle vous avez donné les plus grandes preuves de votre dévouement fécond pour la Pologne et pour la France. Tous ceux, qui vous ont connu a cette époque troublée, peuvent en témoigner"... „Comptez toujours sur mes sentiments de sincere amitie G—al du Moriez".

(Z dnia na dzień oczekiwałem Pańskiej odpowiedzi na list, w którym wypowiadałem Panu całe moje oburzenie na oszczerstwa, o których mi Pan wspominał w liście swoim z ostatniego miesiąca. Powinien Pan gardzić tymi atakami, odnoszącymi się do tego właśnie okresu Pańskiego życia, kiedy Pan dał największe dowody swego owocnego oddania Polsce i Francji. Wszyscy, którzy Pana znali w tym okresie burzliwym, mogą to zaświadczyć"... Niech Pan zawsze liczy na uczucia szczerej przyjaźni mojej". „gen. du Moriez".

Racz przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szczerego poważania.

Ed. Ligocki.

Pren. kwart. **54.000.** Zagranicą kwart. **75.000.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **800.000,** ½ str. **400.000,** ¼ str **200.000,** ⅛ str. **100.000,** 1/16 str. **50.000 mk.** Konto cz. w P.K.O. Nr. 3155

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Zgoda 5